№ 14. 4. Kwietnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W kwestji spornej.

(Głos z szeregów młodzieży.*))

„Wychowano nas pod dusznem sklepieniem, bacząc troskliwie nie na to, abyśmy rosnąć swobodnie mogli — tylko na to, abyśmy rosnąc nie uszkodzili głowami sklepienia.“

„Może by było to istotną korzyścią dla narodu, dla „przyszłych obywateli“, gdyby rozstrzygnięto raz zasadniczo tę kwestję. czem ma być i powinna ta młodzież“... powiada Alfa w artykule „Młodzież i społeczeństwo“ umieszczonym w 1 i 2 numerze „Tygodnia“.

Na pytanie powyższe, pytanie ważne, palące posypią się bezwątpienia liczne odpowiedzi.

Czem ma być młodzież? Strażnicą narodu, wcieleniem wszystkich szlachetnych jego marzeń i porywów, zadatkiem lepszej przyszłości.

A jakież ona do spełnienia tak wzniosłych zadań przygotowanie otrzymała — czy ludzie, którzy je stawiają, wychowali ją odpowiednio, czy niespodzianką ona dla społeczeństwa swego nie jest, jeśli tak czy może to społeczeństwo powiedzieć, że młodzież taka jaką jest zawiodła jego nadzieje, że na innych ludzi ją wychowano?

Na te pytania i społeczeństwo samo i młodzież jedynie przeczącą odpowiedź dać mogą.

Rośliśmy sami — i to nie swobodnie — dziś jeśli nieraz boleśnie pierś a głowę sobie krwawimy, jeśli złą drogą idziemy — nie nasza wina.

I możeśmy lepsi i uczciwsi, niż spodziewać się tego po nas społeczeństwo miało prawo — lecz i to nie jego zasługa.

Bezpośrednio poprzedzające nas pokolenie nie wiele zdrowego, dobrego w życie nasze wniosło — mówimy to w imieniu młodzieży za całe ostatnie dziesięciolecie.

Jeśli i mieliśmy od kogo i radę serdeczną i pomoc w rozwoju — to od tych, których wyście się zapierali tylokrotnie, których między wami już prawie nie ma, od tych co swe siwe głowy na spoczynek wieczny ułożyli i poszli w kraj cichy, senny, ojcom swym z pod Racławic i Stoczka opowiadać, jakie marne to pokolenie wnuków, co nie waha się nosić miana, „Prusaków mówiących po polsku“ i boi się bronić praw swego ludu, by go dynastja o brak prawomyślności nie posądziła. I od tych „naszych“, rówieśników niemal latami — co po więzieniach, wygnaniach marnieją — na których wyście kamieniem potępienia omal nie pierwsi rzucili — za odszczepienców, odstępców, wyrzutków społeczeństwa tylekrotnie ogłaszali.

Lecz od was — od t. zw. społeczeństwa — nie mieliśmy ani kierunku, ani rady, ani pomocy — nigdy. Dlatego też, jeżeli chcecie, mówcie czem myśmy być powinni, lecz wiedzcie. że my sobie zachowujemy prawo krytyki każdego waszego żądania.

Młodzież warszawska nie pyta czy jej postępowanie zyskuje uznanie ogółu, idzie prostą drogą, którą jej obowiązek i uczciwość wytykają — za nią pójdzie, pójść powinna cała młodzież ruchu.

— I niech nam kto chce stawia postulaty, czem być mamy — niech kto chce, zakreśla szematy „godnych nas dążeń i celów“ — my po naszej drodze pójdziemy, za naszem przekonaniem — nie waszem, bo wyście nam na wstępie do życia tylko wiązankę sprzeczności rzucili — z których nic prócz zwątpienia wyłonić się nie mogło. Nie mamy bynajmniej zamiaru idealizować siebie – niestety — nie ma czego idealizować — zresztą możebyśmy nawet i nie potrafili.

Pięknie to drapować się w greckie szaty, otaczać się aureolą nieskazitelności, na szczyty niedostępne wstępować — lecz nasi poprzednicy używali i nadużywali tych szat tak obficie — tak się we wspaniałe łachmany drapowali, tak widocznie przez dziury wyglądały ich nicość i pustota — aureola nieskazitelności tak skazitelną była, że ani jednego złotego promyka na głowy ich nie kładła — niedostępne szczyty takie dostępne, że nam tylko szalony niesmak tej blagi w spuściźnie zostawiły.

Nie chcemy maskarady — i może gdy bez szat karnawałowych w świetle swej własnej, surowej bezstronnej krytyki staniemy przed sądem opinji, wybaczy nam ona nasze braki, wady, kto wie, może nawet i zbrodnie — za szczerość, prawość, odwagę samych siebie.

*) Zakordonowej.

Krytykujmyż się więc — jacy my jesteśmy? My, to jest to najmłodsze pokolenie społeczeństwa naszego. które w życie wstępuje — my, t. j. ta młodzież ruchu, bez różnicy przekonań i celów — jacy jesteśmy?

Odpowiedź krótka: jesteśmy pokoleniem przełomowem, nadwrażliwem, o porywach bez sił, któremu po to chyba dane są skrzydła, by mu się co chwila łamały.

Zginąć dla idei, walczyć za nią, żyć nawet dla niej — potrafimy; ale nie ręczę, czy nawet u kresu nie błyśnie nam myśl czy warto? czy rezultaty jakie da ta śmierć, ta walka, to życie.

Dwoiści jesteśmy, nie jednolici, mamy poczucie obowiązku pracy — brak nam poczucia rezultatów tejże pracy — i kto wie, czy jedyny ślad, jaki w historji ruchów zostawimy, nie będzie ludzi ginących za przekonania, bez nadziei rezultatów.

I dlaczego tacy jesteśmy? Dużo się na to złożyło; przedewszystkiem gra tu rolę dziedziczność psychologiczna.

Nie sięgając po za rok 63 iluż to my kierunków dziedzicami jesteśmy!

1) Partji ruchu 63 roku, co zostawiła nam swe tradycje w dekretach rządu narodowego i złotej Hramocie chłopomanów kijowskich, chcących walczyć za lud i ginących bezbronnie z rąk tegoż ludu.

2) Pracy organicznej, w którą żywotniejsze a niższe pozostałe po roku 63 elementy siły swe, zdolności, nadzieje i ideały włożyły.

3) Pozytywistów bojujących, tych sekciarzy przewrotu i zniszczenia, tych apostołów niewiary o wierze tak silnej.

I każdy z tych kierunków dał nam coś, każdy reakcję w nas wywołał. — A kierunki te tak niepodobne do siebie, tak sprzeczne, taką lawiną następujące po sobie, że każdy mimowoli pod oczy i krytykę się nam nasuwa.

Więc zaczęliśmy krytykować, analizować każdy z osobna i wszystkie razem — i wytworzył się nam chaos z którego jedno tylko pojęcie jasno się wyłania — nie wiemy, nie wiemy — i to „nie wiemy“ przeciwważy częstokroć nasze przekonanie i jad zwątpienia w pracę naszą rzuca.

O tyle inni jesteśmy od tych co byli przed nami, że ich ideały — ideałami dla nas nie są, że ich etyka nam nie etyką, ich zasady — nie zasadami. O tyle przeanalizowani jesteśmy, że nowych zasad, nowej etyki, nowych ideałów, jeśli nawet je mamy, w życie wprowadzić nie umiemy. — I gdybyż nam choć z tem dobrze było, ale i tego nie czujemy, wiemy, że nam źle i nie tylko nie umiemy, lecz nawet nie staramy się tego „źle“ na „dobre“ zamienić.

Więc przeszłość nam dała 3 kierunki sprzeczne, których rozbieranie wywołało w nas bezbrzeżną analizę; dała nam ona i inne jeszcze dziedzictwo.

Rok 63 zostawił nam krwawe wspomnienia walki i chęć tem silniejszą wolności. My — w ciągłej niewoli — umiemy zazdrościć ludziom, co mieli jedną chwilę szalonej rozkoszy zerwania więzów i zdaje nam się, że za taką chwilę wieki cierpieć i przedtem i potem warto.

Praca organiczna zwróciła naszą uwagę na ekonomiczne położenie kraju naszego — na praktyczność możliwych ruchów.

A pozytywiści bojujący odebrali wiarę nawet w niewiarę; sekciarze ci tak zwalczający sekty, sceptycy tak wobec siebie i swych ideałów niesceptyczni nas pessymizmem natchnąć musieli — i natchnęli.

W Pieninach
sanną po Dunajcu.

Z dawna upragnionem życzeniem mojem było zobaczyć wśród zimy tyle wysławiane Pieniny, a że w tej porze właśnie wła nie bawiłem w Szczawnicy, więc za grzech poczytywałcym sobie nie skorzystać z nadarzającej się sposobności. Jednego tedy pięknego dnia, w pierwszej połowie lutego, gdy słońce zimowe pogodne ukazało oblicze, wybrałem się do Pienin. Naturalnie, postanowiłem puścić się sanną po Dunajcu, okoliczność ta bowiem wycieczkę o wiele powabniejszą czyniła. Wyruszywszy w drogę jednym silnym konikiem, maleńkimi saneczkami, ja i mój towarzysz podróży, znaleźliśmy się w kilkanaście minut wśród gór, a nie długo potem już na dobre zjechaliśmy z drogi i mknęli szybko, chyżo i lekko po Dunajcu. Spragnieni widoku niezwykłego, już z góry obiecywaliśmy sobie zobaczyć cuda; w wesołem więc usposobieniu i rozjaśnionem okiem rozglądaliśmy się na prawo i lewo. Dobry nasz humor, acz zapewne z innego powodu, podzielał i nasz woźnica, Wawrzek Giemza, góral, któremu, jak mówił, taka jazda była już nie pierwszyzna; zaraztęż nucić zaczął, co chwila jednak sam sobie przerywał opowiadaniem, na niejednę rzecz zwracając naszą uwagę.

Zima w tym roku wszędzie dobrze dała się we znaki, okrywając i Dunajec grubą powłoką, niby skorupą. Szybko przesuwaliśmy się po niej, wciąż dalej i dalej, dokładnie odczuwając, jak maleńkie saneczki niby elastyczną siłą były podrzucane. Wybierając się na wycieczkę, chociaż w dniu tym zbyt zimno nie było, z koniecznej ostrożności ubrałem się aż nadto ciepło. To też nie mało zdziwiliśmy się, gdy zaraz na samym wstępie do gór owionęło nas powietrze, rzec można, prawie ciepłe i łagodne. Sądziłem, że to chwilowo; przeciwnie — tak było aż do końca naszej podróży.

Łożysko Dunajca w Pieninach z jednej i z drugiej strony ujęte jest na przestrzeni kilkunastu kilometrów olbrzymimi górami; one to wstrzymują gwałtowniejsze uderzenia wiatrów. Po skałach, na

I każdy z nas nosi w sobie drugie ja badające, krytykujące pierwsze — nie pozwalające oddać się całkowicie żadnemu wrażeniu, żadnemu działaniu, żadnemu uczuciu, żadnej rozkoszy, żednej namiętności. Być może, że samowiedza jest znamieniem wyższego rowoju, lecz jest zarazem czemś, osłabiającem odczuwanie. — Nosić w sobie wiecznie czujną krytykę samego siebie, to odłączyć od całości potrzebną na to część duszy — a więc życie i wrażenia odczuwać nie całością, lecz pozostałą resztą.

I każdy z nas z osobna, jak powiada Płoszowski, może i jest wyższym typem kulturalnym, lecz suma takich wyższości daje społeczne minus.

My ani czuć, ani myśleć, ani kochać, ani nienawidzieć całą duszą nie umiemy. — Mamy jak raz tyle nauki, by wątpić o naszej wierze — tyle wiary, by wątpić o nauce.

I żyć nam się nie chce, a wiemy, że żyć trzeba — i nie ma chyba ani jednego wśród nas, któremu by się nie marzyło spłacić jednym gwałtownym czynem dług obowiązku — i nie być. Za nadwrażliwi, za nerwowi jesteśmy, by być pokoleniem wytrwałej, cichej, budującej pracy — i szczęście nasze, że pora obecna do budowania, stwarzania nowych ustrojów nie odpowiada, że my co najwyżej chwili walki o pole dla wznoszenia nowych gmachów dożyjemy — bo smutny byłby ustrój i smutna przyszłość społeczeństwa, któremu podwaliny by rzucało takie zmęczone, beznadziejne, nadwrażliwe pokolenie jak nasze.

Tacy jesteśmy — i może z tym naszym sądem o nas liczyć się należy starszym, przyrodzonym opiekunom i kierownikom naszym przy zakreślaniu nam celu, wytykania dróg życia.

Może kto — i to z kolegów — zarzuci, że zbyt ciemnych barw dobrałem dla odmalowania naszego pokolenia: jakiem je widzę, takiem przedstawiam. obym widział źle.

Zresztą dziś, gdy krytykujemy wszystko i wszystkich, krytykujmyż i siebie; dotąd nie krytykowaliśmy się, ale analizowali.

Analiza, to rozkład na pierwiastki — rzecz dobra dla organizmów martwych, zgubna dla żywych, gdyż niszczy organiczną całość.

Krytyka to amputacja chorej części. — Myśmy chorzy, krytyki nam potrzeba, surowej, ostrej, palącej.

Niech ostrze jej do żywego nas dojmie, niech krew z pod niego tryśnie, dowodem to będzie, że organizm jeszcze żyje.

Analiza rozkłada, krytyka rozkładowe pierwiastki odrzuca, z rozkładu leczy, zdrowie daje. Musimy być zdrowymi, jeśli żyć mamy.

Wiem, że mało kto się ze mną zgodzi, że protesty ciche i głośne będą — chciałbym, by podnosiły się one z przekonania — nie z dobrowolnego lub mimowolnego łudzenia się — nie z obłudnego lub tchórzliwego oszukiwania siebie samych.

Witold.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

(Dokończenie.)

XII.

Ciemnemi barwami maluje p. Chasin życie mas żydowskich w krajach cieszących się emancypacją... Już sam fakt nędzy tych mas żydowskich dość jasno mówi o tem, jak mało nowych źródeł zarobku dała im emancypacja. A czem że zajmują

---

ich szczytach, wichry hasają swobodnie, ale Dunajec u stóp tych skalic, w głębokiej pogrążony kotlinie, jakkolwiek niezupełnie od nich wolny, przecież nie jest tak narażonym na ich igraszki i harce.

Minęliśmy pierwszy zakręt Dunajca; tu jeszcze góry z obu stron pokryte lasem, o zawsze ciemnych, a w zimowej porze prawie czarnych szpilkach, tworzyły powabny dla oka kontrast, zarysowując się na tle jasnego horyzontu nieba i śnieżną szatą osłoniętych podnóży. Niezwykle wspaniały widok przedstawiał się naszym oczom: na dolnych przeważnie gałęziach i gałązkach połyskiwały niby gwiazdki na ciemnem tle, drobne bryłki śniegu. Na prawo i na lewo miljony takich różczek, przetworzonych zaklęciem cudotwórcy-natury w brylanty czystej wody, a wszystkie błyszczą w promieniach słońca, rzucając dookoła snopy drobnych lśniących iskier, których siłę i blask potęgowało czarne tło lasu, jak żałobne łuki brwi i jedwab czarnych rzęsów potęgują blask życiem i ogniem, płonących oczu pięknej kobiety.

Już pozostawiliśmy daleko za sobą „stuletnie źródło“, które wytryskując w samem łożysku Dunajca, zalewa żywą swą falą zlodowaciałę jego skorupę; przesunęliśmy się dalej, niby wartka strzała, koło skalistej Sokolicy, gdzieniegdzie tylko, od strony rzeki, przystrojonej w zarośle i jakby ulanej z jednego olbrzymiego głazu. Lodowa powłoka skalistej jej ściany świeciła, jakby matowem szkłem, rozrzuconem w mniejszych i większych taflach, na kilkaset metrów ponad naszymi głowami. Ale i ją straciliśmy z oczów, zbliżywszy się do góry „Facmiech“ zwanej, w którą Dunajec po krótkim ale gwałtownym zakręcie uderza niemal pod prostym kątem. Koń znacznie zwolnił w biegu, sanie wlokły się leniwo, poczęliśmy wjeżdżać na jakiś wał...? Pochodzenie tego wału wyjaśniło się nam wkrótce: wody Dunajca, tworząc w tem miejscu silniejszy prąd, a nie mogąc z powodu nagłego zakrętu, jaki przybiera łożysko rzeki, swobodnie spłynąć, podniosły lodowy pancerz i rozrywując go w kawały, znalazły tym sposobem pożądany dla siebie upust, oderwane zaś kry, mniejsze i większe czerepy, zrzuciły w jedno szersze miejsce, jakby chciały tą naturalną barykadą wzbronić ciekawym śmiałkom oglądania cudów natury.

Zaledwie minęliśmy jednę zaporę, gdy znowu nowy wał śnieżny wstrzymał bieg konia. Koryto

się „górne dziesięć tysięcy“? Handlem en grand, tzw. liberalnemi profesjami i — lichwą. Lichwa jest główną dźwignią przechodzenia majętności ziemskich w ręce banków i żydów. Stając się właścicielem ziemskim, żyd w przeważnej liczbie wypadków nie porzuca swej kramarsko-lichwiarskiej metody i prowadzi spekulację na grunta i pracę chłopów. Pracą fizyczną gardzi i do niej nigdy się nie bierze. Równocześnie ludzie inteligentni z żydów nie mają nic lepszego do czynienia, jak wyrzec się swych mas ludowych, rozerwać wszelkie z niemi związki. Stąd pochodzi fakt dziwny lecz prawdziwy, że cywilizacja mas żydowskich w Galicji, Bukowinie i Polsce pruskiej stoi na daleko niższym stopniu, niż w Rosji, że władza rabinów i cadyków tam nierównie potężniejsza, niż w Rosji, gdzie ona prawie nie istnieje. I co jest rzeczą główną — stało się to nie wbrew równouprawnieniu, lecz właśnie w skutek tegoż a przynajmniej wskutek chybnego postawienia kwestji żydowskiej na czysto prawnym gruncie. W Rosji, gdzie inteligencja żydowska uciskiem związaną jest jeszcze z masą ludu żydowskiego, ta dezercja najlepszych jednostek nie mogła się jeszcze dokonać, i cywilizująca potęga tych ludzi wpłynęła niewątpliwie na podniesienie poziomu cywilizacyjnego całych mass. A nadto i sama ta masa, pobudzana ulgami i prawami, jakie daje cenzus wykształcenia, musiała dążyć temi samemi drogami. Na zachodzie, gdzie nie było tego potężnego bodźca, miłośnicy ciemnoty mogli zapanować bez oporu. I to jest głównym powodem, dla czego żydzi w Europie nie zajęli takiego stanowiska narodowego, jakieby im się należało. Nędza i ciemnota mas przytępiły w nich uczucie własnej godności: przestarzały fanatyzm każe im pokładać nadzieję na zbawienie narodowe w fantastycznej przyszłości, a lichwa, i wyzyskiwanie włościaństwa wywołały względem nich nienawiść manifestującą się w dzikich atakach antysemityzmu.

W czemże upatruje pan Chasin remedium przeciw tym opłakanym stosunkom? Jego zdaniem naród żydowski powinien był atakom antysemityzmu przeciwstawić jedynie rozumny, jedynie przekonywający dowód — pracowite rolnicze życie mas żydowskich. Tymczasem zamiast dać narodowi żydowskiemu możność ufundowania swego życia na płodnym gruncie pracy rolniczej, zamiast zrobić go uczestnikiem cywilizacji europejskiej, najlepsi ludzie z tego narodu rozerwali swój związek z nim i sami pospieszyli się przyłączyć do Madjarów, Polaków, Czechów i Niemców. I wyszła ztąd taka niemiła historja, że żyd, który dla czegoś uważa siebie za Polaka, walczy w imię zasad narodowych z żydem, który siebie dla czegoś uważa za Niemca lub Rusina. Pseudoczech żydowskiego pochodzenia walczy ze swym współplemieńcem pseudo-Niemcem, a pseudo-Węgier uważa za swój obowiązek uciskać słabsze narodowości słowiańskie. A już wprost komiczne są te nieliczne jeszcze kupki „asymilowanej“ inteligencji żydowskiej, które na wyścigi starają się upewnić wszystkich, że narodowości żydowskiej jako takiej w Austrji wcale niema, tak że wreszcie sami przedstawiciele narodowości w Austrji, zbrzydziwszy sobie tę politykę, ustami jednej z komisyj parlamentarnych oświadczyli, że żydzi są taką samą równoprawną narodowością austryjacką, jak niemiecka lub jakakolwiek słowiańska.

Sprawę organizacji żydów na gruncie pracy rolniczej postawili sobie za punkt programowy także narodowcy-palestyńczycy. P. Chasin ubolewa jednak, że program ten, oparty zresztą na utopji,

---

rzeki, niezbyt szerokie, zasypane było górą śniegu, właśnie po tej stronie, ktorą przejeżdżać musieliśmy. Ze szczytu skały, lub co najmniej ze znacznej wysokości oderwała się może nawet nie zbyt wielka masa śniegu, lecz staczając się na dół z coraz większym rozpędem, rosła i olbrzymiała, zaznaczając wyraźnie drogę, którą przez całą długość góry wyryła, aż wreszcie uderzywszy o lodową opokę Dunajca, rozbiła się, pękła, a zaścielając swymi gruzami drogę, swobodne zatamowała przejście.

Wawrzek wręczył lejce memu towarzyszowi, sam zaś zeskoczywszy z sanek, by ulżyć koniowi biegł za nami ochoczo, bez najmniejszej oznaki utrudzenia. Wesoły, gadatliwy, ciągle coś nowego miał do opowiadania, czerpiąc z nieprzebranej skarbnicy legend, przesądów i zabobonów ludowych. Jeżeli bowiem gdzie rozwijać się może pełna fantazji baśń ludowa, to najsposobniejszy do tego grunt znajdzie w górach. Zwykłe nawet przygody, codzienne wypadki, które w innych warunkach żadnej nie zwróciłyby uwagi, tutaj nabierają znaczenia nadzwyczajnych, nadziemskich zjawisk w oczach górali, którzy przypisują je koniecznie jakiejś niezwykłej sile — dobrej lub nieczystej, jak ją zwykli nazywać.

Od dłuższego czasu jechaliśmy popod grzbietem gór, tzw. czerwonych, których najwyższe, najwspanialsze szczyty w Pieninach noszą nazwę trzech koron, a tak górują nad całą okolicą, że z małym wyjątkiem, zwłaszcza w samej Szczawnicy, z każdego miejsca widzieć je można. Położone po stronie polskiej, słusznie są uważane za perłę Pienin; Po przeciwnej stronie Dunajca, już na ziemi węgierskiej, nie ma tych arcydzieł natury.

Swobodnie rozglądając się w cudnej okolicy, dotarliśmy do Huty, wioseczki słowackiej na Węgrzech, liczącej zaledwie kilkanaście chałup.

Jadąc, doznawaliśmy wrażenia, jakby i góry i lasy ustępowały nam z drogi; wszystko umyka przed nami, ukazuje się, aby zniknąć niebawem, a my ciągle mkniemy i mkniemy w dal, aż dotarliśmy nareszcie do najwęższego miejsca na całym Dunajcu wśród Pienin, do t. zw. zbójeckiego skoku.

D. Miśko.

(Dokończenie nastąpi.)

połączony jest z takiem wstecznictwem, które nie uważa za rzecz wstrętną dobijać się zaufania ciemnych mas żydowskich za pomocą najpospolitszych pochlebstw przestarzałym przesądom żydowskim. Mimo to przyznaje pan Chasin, że palestynofilstwo, chociaż jako ruch narodowy jest niewątpliwie utopją, ma także niektóre zadatki postępowe, zwłaszcza w krytyce obecnego stanu żydów. Krytyka ta uderza na dwa rzeczywiście kardynalne punkty: fizyczne i moralne zwyrodnienie mas żydowskich. Mimo to jednak, zdaniem p. Chasina, jest to partja sztuczna, której sztuczne życie podtrzymują tylko ucisk rządowy i antysemityzm.

Zwracając się do stosunków ros jskich p. Chasin widzi największ go wroga żydów w absolutnym rządzie rosyjskim, który nie pozwala na normalny rozwój żadnej narodowości rosyjskiej. Walka z tym rządem powinna być głównem zadaniem żydów, ideałem zaś ich ma być odrodzenie narodowego życia żydów na gruncie pracy rolniczej w samej Rosji.

Na tem kończymy streszczenie pracy p Chasina a zarazem i nasz, przydługi może szereg referatów o tej kwestji.

Iwan Franko.

W jakuckiej jurcie.

(Dokończenie.)

Koledzy, a i naczelnik, zauważyli zmianę, jaka we mnie nastąpiła i choć z nikim nie mówiłem o tej burzy, jaka w mej duszy wrzała, rozumieli co ją wywołało.

Na drugi dzień, gdy chowano poległych, zwróciłem się do pana Wojciecha, by mi pozwolił z należnymi honorami pochować ofiarę mojej krwiożerczości. Pozwolił. Nad grobem oprócz mnie stał ujęty w niewolę „denszczyk“ poległego. Uprosiłem pana Wojciecha, by mu powrócił wolność i obdarzywszy kilku rublami na drogę, oznajmiłem mu o tem. Wiadomość tę przyjął apatycznie. Rzekłbyś, że po stracie panicza wszystko było dlań obojętnem. Był to nowy wyrzut dla mnie..

— Cóżeś-to, Mocium Dzieju, nos na kwintę spuścił, — rzekł pewnego dnia do mnie pan Wojciech — Oj, młodzi, młodzi! Toć to wojna! nie zabijesz ty — ciebie zabiją!..

Milczałem.

— Zbyt blisko bierzesz to do serca, panie Stanisławie, dodał po chwili, porzucając zwykły mu rubaszny ton. — Wszyscyśmy to przeżyli. Pierwsza ofiara zawsze ciężkim na piersi spada kamieniem. Z czasem jednak człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Gryźć się nie ma czego! Sam zresztą się o tem przekonasz...

Dziwna rzecz! Słuszność wyrzeczonego przezeń i wtedy rozumem uznawałem, ale serce burzyło się. Z czasem jednak spór pomiędzy rozumem a uczuciem, zwycięstwem pierwszego się zakończył, ale tylko, że tak powiem, teoretycznie. Przyznaję konieczność zabijania ludzi podczas wojny, podczas tak słusznej wojny, jak ta, którąśmy rozpaczliwie prowadzili, sam jednak odrazy do tego okropnego środka zwalczyć w sobie nie mogłem. Nie chcę przez to powiedzieć, żem już odtąd nigdy nie dobywał szabli. Nie! Raz jeszcze jej dobyłem, ale... było to przy takich okolicznościach, że już wyrzutów nie doznałem.

— Nie dziwi pana sprzeczność — przerwał sam sobie, — pomiędzy tem coś w tej oto chwili odemnie usłyszał, a opowiadaniem o otrzymanej w potyczce ranie, z którem zaznajomiłem cię na samym początku? Sprzeczność ta rzeczywiście mię uderzyła i jeżeli milczałem, to dla zrozumiałej dla każdego w takich razach delikatności. Zapytany jednak, dałem twierdzącą odpowiedź.

— Pozorna to, panie dobrodzieju, sprzeczność! Tkwi ona w formie, a nie w istocie rzeczy. Nie darmo francuzi mówią, że *le ton fait la musique...* Zapytałeś mię pan dobrodziej o pochodzenie rany, dałem ci odpowiedź faktycznie prawdziwą, przemilczałem zaś tylko o tym stanie duszy, dzięki któremu wszelkie zabójstwo wstrętem mię przejmowało. Byłem sanitarem, lekarzem, a do żołnierstwa czułem odrazę. Dotykało to moją miłość własną; gnębiła mię myśl, że gdy inni piersi pod kule nadstawiają, ja w bezpiecznem schronieniu przesiaduję. To też nie było wypadku, żebym był nieobecny w polu podczas utarczki. Kule przelatywał nad moją głową, bomby i kartacze pękały tuż przy mnie, siejąc śmierć i spustoszenie, a ja z szeregu do szeregu przebiegałem, unosząc w stronę rannych i tu, na miejscu, udzielając im pomocy. Razu jednego, gdy kula w pana Wojciecha ugodziła i on w omdleniu z konia na ziemię się zsunął, przybiegłem doń... W tej samej chwili w oczach mi pociemniało, zahuczało w głowie: jeden z szeregowców uderzył mię bagnetem. Spoczywające na dnie duszy instynkty samozachowawcze, jak lawa z głębi wulkanu, wypłynęły na wierzch. Jak dzikie zwierzę rzuciłem się na napastnika i potężny cios mu zadałem. Ot jak się rzecz miała, panie dobrodzieju! A że z początku zabarwiłem opowiadanie bardziej jaskrawemi kolorami — nie dziw się pan temu. Najsamodzielniejsi ludzie przystosowują się do otoczenia. Jakże było inaczej opowiadać! Trudno przed obcym głębię duszy odsłaniać. To też zwykle o zdarzeniu tem jak zapalony rębacz opowiadam.

Wypowiedział to tak szczerze, że wątpliwości najmniejszej nie było, że mówi prawdę. Jakże inaczej przedstawiał mi się w tej chwili, niż gdym słuchał na początku jego rubasznego opowiadania.

Spostrzegł, jakie na mnie sprawił wrażenie i wzakłopotaniu oczy odemnie odwrócił. Zauważyłem to i zamyśliłem się nad sposobem zawiązania na nowo przerwanej nici opowiadania.

— A cóż z p. Wojciechem? — zapytałem.

— Umarł, nieborak! Jak spadł z konia, tak się już i nie podniósł. Dowiedziałem się o tem już w więzieniu od matki.

— Więc widzenia dawano?

— Dawano, ale ja ich nie miałem. Matka przez pewien czas była moją sąsiadką. Wkrótce jednak ją wypuszczono, a już w drodze doszła mię wieść o jej śmierci... Okropny był to cios dla mnie! Nie mówię już o uczuciach synowskich..., ale umarła w chwili, kiedy najbardziej potrzebowałem jej pomocy: wiara w ludzi coraz bardziej znikała i bladła... Ona jedna mogła-by ją wskrzesić na nowo...

Nie łatwo mu było dotykać tego przedmiotu. Słowa, jakby gwałtem dobywał z siebie, jąkał się, jak człowiek, któremu na razie brak słów dla wyrażenia tego, co czuje. Wypowiedziawszy je wreszcie, umilkł, rzekłbyś, że wycieńczenie usta mu skuło. Mózg jednak pracować nie przestał. Wyobraźnia odtwarzała, widać, dawno przeżyte sceny bolesne a męczące, bo czoło się pofałdowało, a oczy — to boleść i smutek, to znów rozdrażnienie i gniew wyrażały.

— Nic chyba nie ma okropniejszego nad rozczarowanie! — dodał po chwili. — Na wolności i w więzieniu aż do chwili gdy nas z ogolonymi łbami, skutych w kajdany wyprawiono w głąb puszcz Sibirskich — zbratała nas wszystkich jedna sprawa, jedna idea, jeden cel... Ksiądz się zbratał z żydem, hrabia i książę z chłopem, szlachcic z mieszczaninem, a uczony profesor z szewcem. Ludzie najrozmaitszego położenia w świecie, najrozmaitszego wychowania, wykształcenia — byli braćmi. Chłop własną piersią zasłaniał dziedzica, a dziedzic w uniesieniu i zapale biegł w największy ogień, by z rąk nieprzyjacielskich chłopa wyratować... Dobre to były czasy!. Ale jakże krótko trwały! Pierwszy podmuch chłodniejszego wiatru ostudził ten zapał, a równość, braterstwo... pękły jak bańka mydlana!.. Wyruszyliśmy w drogę. Nie uwierzysz pan, jaka to okropna chwila! Nie wygnanie nas przerażało! Nie!.. O wygnaniu myśmy wtedy jeszcze bardzo mało myśleli, a to cośmy o niem myśleli niezbyt nas trapiło, owszem, byliśmy dumni z męczeństwa, jakie nam groziło. Przez nie czuliśmy się bohaterami. To też z dumnie, rzekłbym nawet, hardo podniesionemi głowami szliśmy przez ulice stolicy. Ale zanim doszliśmy do dworca kolei — nisko, bardzo nisko, pospuszczaliśmy głowy. Pochód to był okropny. We wszystkich domach okna szczelnie były pozamykane i zawieszane. Nikt nie śmiał spojrzeć na nas, spojrzeniem choćby pożegnać. Przypadkowy przechodzień patrzał wprost przed siebie, klnąc zapewne w duszy to niemiłe spotkanie.. Wśród tych przechodniów był jeden z blizkich mi przyjaciół. Zbladł... ale w naszą stronę spojrzenia nie rzucił. „Nie znam was! Znać was nie chcę!“ — mówił nam bez słów każdy człowiek, każdy przedmiot... A na dworcu zebrana najbliższa rodzina w grubej żałobie głośnemi łkaniami nas żegnała... Żywcem nas chowano do grobu. Mieli rację! Tych ludzi, których wtedy żegnano — nie ma, a choć postacie i oblicza — te same, to jednak ludzie — inni. Tamci — to chwała narodu, to — żywe, harde, nieugięte duchy; ci — to schorzali, zgięci, życiem złamani wygnańcy.

Ze zdziwieniem i niedowierzaniem patrzysz pan na mnie? Nie dziw się! Pochodnia, co światłem zapału ciemnię naszego oświecała życia, zgasła jeszcze tam — w kraju... Żywa ideja, ideja bratająca, jak najrozmaitsze czynniki, jeżeli nie zmarła — ideje nie mrą — to zastygła, skostniała. Różowe szkła z oczu nam pospadały, to też innemi już oczyma zaczęliśmy na siebie spoglądać. Księdza żydowskie „cycełe“ drażniły, a panom na mdłości się zbierało, gdy chłop rękawem od koszuli nos ucierał. Już w drodze tworzyć się zaczęły kółka, kółeczka, wrogo na siebie spoglądające. Nie pomagały nawoływania lepszych a poważniejszych pośród nas. Życie robiło swoje, a ma ono swoje nieugięte, niezłomne, żelazne prawa! Zastanawiałeś się pan kiedy nad słowami: „różnica potrzeb“? Pytając o to, nie mam na myśli, że się tak wyrażę, teoretycznego zastanowienia. Nie wątpię, że znaną ci jest różnica, zachodząca pomiędzy tem, co jest naprzykład niezbędnem dla angielskiego, a co dla polskiego robotnika. Nie oto pytam. Idzie mi o to, czy życie samo nie zmusiło pana do rozstrzygania kwestji, co jest bardziej nieodzowną potrzebą: kęs chleba czarnego, czy też kawałek bułki, elementarz czy gazeta, książka czy instrumenty rękodzielnicze?

Uśmiechnąłem się. Przypomniało mi to spór o wyższość Szekspira nad butami...

— Nie śmiej się pan! — ciągnął dalej doktór. I my byśmy te spory za komiczne uważali, gdyby nie były one tak smutnemi, a raczej tak poważnemi. Pieniędzy już od samego początku mieliśmy bardzo niewiele. W pierwszej chwili, jak gdyby przez inercję, majętniejsi wszystko do ogólnego oddali użytku, oddali nadto w ten sposób, że nikt się nie uważał przez to za upokorzonego. Był-to, że tak powiem ostatni połysk dogorywającej pochodni. Skoro jednak zgasła, światło znikło, a w powietrzu dym i czad zapanował. Należący do sfer uprzywilejowanych do wielu rzeczy nie przywykli. Kęs razowego chleba z „kirpiczem“ szkodliwie na nich działał; wielu chorowało. Trzeba było dać im co innego. Powodowało to wyróżnienie, z którego karmiący się razowcem byli niezadowoleni. A wszystkim dawać lepszą żywność nie pozwalały środki. Oto pierwszy szkopuł, o który rozbijały się najlepsze chęci najlepszych jednostek. Takich szkopułów było, na nieszczęście tysiące.

Raz na etapie obudził mię ze snu gorący spór.

— Nie ma pieniędzy na to! — usłyszałem głos starosty.

— Jakto nie ma? Na bułeczki — są?!. Na marki są?!. A dla mnie nie ma?!. — mówił namiętnie jeden z idących z nami rzemieślników — stolarz Kowalski. Własnym uszom nie wierzyłem. Kowalski był to człowiek powszechnie szanowany, prawy, uczynny a skromny. Ilekroć dochodziło do bardziej ostrego starcia, mitygował, godził zwaśnionych. Dziwiła mię nieraz w tym człowieku, prostym i niewykształconym, umiejętność rozumienia ludzi

innych sfer... Możesz sobie pan tedy wyobrazić, co się zemną działo, gdym, przetarłszy oczy, przekonał się, że to właśnie on tak ostro, tak kategorycznie stawia kwestję! Inni z niemniejszem niż ja zadziwieniem przysłuchiwali się sprzeczce.

Starosta bąknął coś, że nie ma prawa sam, bez pozwolenia i upoważnienia reszty, wydatkować na takie rzeczy. Kowalski chciał coś odpowiedzieć, ale wzburzenie pozbawiło go głosu, szybko oddychał, rękoma schwycił się za serce i naraz... głośno, spazmatycznie załkał. Straszna cisza zapanowała w celi. Nikt z miejsca poruszyć się nie śmiał, a pośrodku stał Kowalski, śmiejąc się i płacząc, konwulsyjnie opierając się o poręcz stołka i daremnie łkanie pohamować się siląc.

Pobiegłem ku niemu, prawie gwałtem zmusiłem go do wypicia kilku kropel uspakajających nerwy. Łkania jeszcze się wydzierały z jego piersi, ale przytomność już powracać zaczynała. Łkał, jakiś zawstydzony, zakłopotany. Niby niechcący zasłoniłem go sobą przed resztą towarzyszy i wyprowadziłem z celi. Milcząc, podał mi list od żony. Z trojgiem dzieci umierała z głodu...

— Narzędzia chciałem kupić... hebel, piłę... dłóta .. — bełkotał.

. . . .

Pan Stanisław umilkł. Długi czas nic ciszy nie przerywało, chyba trzask drew na kominku, albo ciche warczenie Neptuna. Naraz pies nastawił uszu, przez chwilę posłuchał, poczem z głośnem szczekaniem ku drzwiom się rzucił. Zaledwiem zdążył nań zawołać, gdy na progu jurty ukazał się znajomy mi jakut — *Bajbał* (Paweł).

Przeżegnawszy się pobożnie, przyczem w świętej naiwności portret Kościuszki i kilka fotografij wziął za obrazy świętych, według zwyczaju zaczął:

— *Kapsie!* (Opowiadaj!)

— *Soch!* (Nie) — odpowiedziałem. *Tu kapsie!* (Ty opowiadaj!)

Soch!

— *Toch nado?* (Czego trzeba?) — zacząłem w russko-jakuckim żargonie indagację, chcąc skrócić ceremonjał.

— *Emp nado!* (Doktora trzeba).

Pan Stanisław ocknął się z zadumy i jął rozpytywać przybyłego. Okazało się, że żona Bajbała od trzech dni wije się w połogowych bólach...

— Nie ma co! Trzeba jechać!

Woźnicy zaprzęgać kazał, a sam do drogi wybierać się zaczął.

Po jakim kwadransie przed mą jurtą znowu stanęły sanie. Doktór, wzruszony, żegnał się zemną serdecznie.

— Może się zobaczymy jeszcze.. — mówił, — chociaż w moim wieku każde spotkanie może już być ostatniem... Będziesz pan może w mieście, nie mijaj progów starego! Z całego serca rad ci będę.

Wyszedł. Wybiegłem za nim, by jeszcze raz go pożegnać.

Na dworze była jasna księżycowa noc. Tuman i mgła pierzchły przed promieniami błyszczącej w pełni swej krasy Zorzy Północnej. Ciemno szafirowe, ponsowe, zielone słupy, ciągle wirując, splatając się z sobą, zlewając i rozsypując miljony różnobarwnych iskr, dziwnemi krasiły barwy smutnie uśmiechniętą twarz starca rodaka. Siwy jego włos dziwnie jakoś harmonizował z tą uroczą krasą gorejącej zorzy.

— Ilekroć zobaczysz pan w przyszłości zorzę. przypomnij sobie o mnie! Ja o panu też wtedy wspominać będę!..

Uścisnęliśmy się raz jeszcze. Dzwonki zadzwoniły i sanie z początku powoli, potem coraz szybcej i szybcej znikać z przed oczu mych poczęły.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

Przyjazd pani Stefanji, siostry regentowej, wywołał istną rewolucję w świecie damskim. szwaczki i kra cy nie mogli sobie dać rady, gdyż naraz wszystkie panie zapragnęły gwałtownej reformy swych toalet, a każdej było tak pilno, jak gdyby suknie potrzebne były nie na wizyty i spacery ale na pożar...

Pani Stefanja przybyła bezpośrednio z Warszawy, a że do Piskorzewa ostatni wyraz mody nie dochodzi tak szybko, jakby sobie życzyć należało, więc suknie pani Stefanji świeżutkie zapewne z pierwszorzędnego magazynu pochodzące, stały się wzorem, które każda z pań jak najskwapliwiej i najprędzej naśladować pragnęła.

Było to coś w rodzaju rewolucji toaletowej, w której brała udział cała piękniejsza połowa inteligencji bez wyjątku — i dopóki się rewolucja nie uspokoiła, brzydsza połowa inteligencji nie jadała obiadów, lub też jadała niesmaczne, przesolone, przydymione szkaradnie. W obec mody warszawskiej, wszystkie, choćby najważniejsze i najpilniejsze sprawy tak zwanych ognisk domowych, musiały ustąpić na plan drugi, dziesiąty i ostatni.

Któżby, mając wspaniałe słońce przed oczami, troszczył się o to, że lampka kopci?

Drugi fakt interesował bardziej panów. Co będzie, jeżeli Dezydery umrze? a według opinji lekarza, ewentualność taka nie jest nieprawdopodobna. Człowiek niemłody, ma zapalenie płuc, więc... można się katastrofy spodziewać. Jeżeli umrze, cóż się stanie z willą i z nowo wybudowanym domem? Kto je odziedziczy? Czy są krewni, bliżsi, lub dalsi? Komu się dostaną kapitały? Ostatecznie są to pytania ciekawe i interesujące.

Doktór chodzi tam dwa razy na dzień, ale starowina jest dyskretny, małomówny, i chorego pytaniami nie męczy. Robi co do niego należy, bada, zapisze lekarstwo, poinformuje Wojciechową jak ma pielęgnować pacjenta i ucieka, a na pytania osób postronnych odpowiada stale:

— Nie wiem. Co do zdrowia hm... jeżeli nie wyzdrowieje, to niezawodnie umrze, to już nie wy-

zdrowieje. Co się tyczy jakichś testamentów, rozporządzeń majątkowych, zapisów, o tem i nie wiem i wiedzieć nie chcę. Co mnie to obchodzi, regenta rzecz, ale nie moja.

Pani regentowa, nie mogąc się doczekać, aby męża jej wezwano, postanowiła wybrać się do chorego sama...

— Biedny Dezydery — mówiła — dla tego, że trochę dziwak, nikt o niego nie dba; rzucony na pastwę losu, jak sierota, bez żadnej opieki... Doprawdy, łyżki wody nie ma mu kto podać. Ja sama będę dla niego siostrą miłosierdzia.

— Ale duszko — ośmielił się zaprotestować regent — doprawdy, nie wiem...

— O! ty nigdy nie wiesz, to znana rzecz...

— Przepraszam cię aniołku, ale w tym razie ja dobrze wiem, czego nie wiem.

— Ha, ha! to mi się podoba! więc ostatecznie czegóż nie wiesz, pedancie?

— Nie wiem, czy wogóle wypada kobiecie... względnie młodej...

— Proszę! co za łaska! więc ja jestem tylko względnie młoda?

— To jest... że się tak wyrażę... zapewne... jeżeli chodzi o ścisłą definicję...

— Eh! mój mężu jesteś bezwzględnie stary nudziarz i mantyka. Chorego odwiedzić i zaopiekować się nim, jest obowiązkiem chrześcijańskim. Nie prawdaż Stefciu? — dodała — zwracając się do siostry.

Pani Stefanja wyraziła zdanie, że współczucie dla cierpiących jest najpiękniejszą stroną duszy kobiecej.

— Ha — rzekł z rezygnacją regent — jesteście obie pełnoletnie i do działań urzędowych zdolne, róbcie więc co się wam podoba, ale ja od wszystkiego ręce umywam; pamiętajcie sobie, żem ostrzegał. Ostrzegałem, uważasz duszko.

— A cóż nam zagraża?

Plotki, moja pani, nasz Piskorzew jest piękne miasteczko, ale partykularz; języki tu dłuższe, aniżeli gdzieindziej, zwłaszcza...

Zatrzymał się nagle.

— Co zwłaszcza? — nalegała regentowa — dokończ-że skoro zacząłeś.

— Ja... to jest... właściwie tak... ale obawiam się obrazić.

Mów, mów.

Języki tu dłuższe, powiadam, niż gdzieindziej, zwłaszcza kobiece.

— I tobie się zdawało, że mnie tem obrazisz?

— Myślałem... Tem lepiej, że byłem w błędzie.

— Nie mam się o co obrażać... przedewszystkiem ja bynajmniej nie jestem kobietą.

Regent zrobił wielkie oczy.

— A, moja duszko — rzekł — przecież tyle lat...

— I przez ten czas nie nauczyłeś się jeszcze rozróżniać, że co innego jest kobieta, a co innego dama. Nie zaprzeczysz chyba, że twoja żona jest dama...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z ruchu literackiego.

Czesław Jankowski: *Rymów nieco.*

W wierszowanej przedmowie nowego tomiku poezyj, który się niedawno pojawił w Krakowie, powiada pan Jankowski, że świat dzisiejszy skarży się na brak poezji. Niesłusznie jednak; poezja tak, jak była dawniej, istnieje i dzisiaj, tylko zeszła z wyżyn koturnowych, pomiędzy tłum powszedni. Tam jej szukać należy. Autor ma słuszność. Przedmowa jednak nie stoi w żadnym związku z dalszą treścią tomiku. Zamiast bowiem szukać poezji pomiędzy szarym gminem, na ulicy, w warstacie robotników, w chacie chłopskiej, p. Jankowski, wbrew swemu programowi, sięga zarówno po treść jak i formę swych poezji w sfery przebrzmiałej romantyki. Ballady, przypominające Uhlandów, Szyllerów i Getych, Sonatiny etc. — oto dobytek, z jakim Czesław wystąpił przed publicznością. Szkoda — bo z kilku drobnostek, napisanych w duchu przedmowy, widać, że autor mógłby napisać naprawdę coś, coby miało cechy poezji oryginalnej, w istocie nowożytnej, zwłaszcza, że formę posiada wdzięczną, niemal rzeźbioną. *jk.*

Dr. E. Majewski. *Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich.*

W tem dziele znany i ceniony przyrodnik p. Erazm Majewski zbiera źródłowo ludowe, oraz naukowe nazwy i synonimy polskie, używane dla zwierząt i roślin od XV-go wieku aż do chwili obecnej i zestawia je z synonimami naukowemi łacińskiemi. Zeszyt ostatni obejmuje dalszy ciąg litery S... Tak samo jak poprzednie dowodzi on, mrówczej pracy i wytrwałości naszego młodego uczonego.

Dr. Kornig. *Jak się obchodzić z nerwowymi?* Przepisy i uwagi. Podług niemieckiego oryginału opracował dr. A. Fabian. Warszawa, Paprocki. 1893 str.

Pożądane i nader potrzebne w naszym „nerwowym wieku“ dziełko. Każdy cierpiący na nerwy, — a któż na nie dziś nie cierpi? — dowie się z pracy dr. Korniga tak o środkach zapobiegających, jak też przynoszących ulgę. Znajdujemy tu opis zjawisk i symptomatów neurastenji, które odpowiadają na pytania: kto jest nerwowy? Autor podnosi z naciskiem, że cierpienia nerwowe najostrzejsze nawet i najbardziej zawikłane dają się wyleczyć, ponieważ wypływają nie z przeobrażeń ustroju, lecz należą do kategorji „czynnościowych“. W rozdziale III mieszczą się wskazówki co do obchodzenia się z nerwowymi i ich leczenia psychicznego. O pielęgnowaniu chorych środkami leczniczemi informuje rozdział IV, zalecając prawidłowe odżywianie się, wycierania mokre, wzmacnianie ciała i t. d. Ostatni wreszcie rozdział poucza o obchodzeniu się z dziećmi nerwowymi i ich wychowaniu. Rozumne rady i krytyki dotychczasowego trybu postępowania w domu i szkole powinny zwrócić przedewszystkiem na tę część pracy p. K. uwagę matek i wychowawczyń. Do zalet książki należy jasny, przystępny język oraz zajmujące przykłady objawów neurastenji u poetów i artystów, jakiemi autor ilustruje teoretyczne wywody.